

Marian Filar

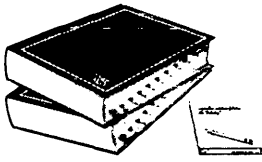
Brulion

Palestra 39/3-4(447-448), 143-145

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Władysława TERLECKIEGO BRULION

Kilku panów – w tym jeden noszący sutannę – którzy zebrali się w budynku parafii św. Aleksandra przy Placu Trzech Krzyży w Warszawie, w toku długiej rozmowy dochodzi do wniosku, że historia nie powtarza się w takich samych wariantach. Omówiwszy sytuację w kraju zajęli się rozważaniami dotyczącymi europejskiego teatru politycznego. Trzydzieści lat wcześniej Europa znajdowała się w innej sytuacji. Złudzenie, że równowaga polityczna utrzyma się co najmniej przez sto lat od pamiętnego kongresu, który ten ład w historii sytuował, dla polityków współczesnych – tak sądzą przynajmniej owi panowie przy Placu Trzech Krzyży – należy już do minionych złudzeń. Nade wszystko zaś oświecone monarchie zachodnie muszą widzieć rysujące się ze Wschodu zagrożenia. W tym układzie ujawnienie faktu, że sami Polacy nadal domagają się prawa decydowania o własnym losie takim właśnie nowemu rozpoznaniu sytuacji politycznej może jedynie pomóc. Światłe monarchie zachodnie nie mogą bowiem pozwolić sobie na tolerowanie niebezpieczeństwa, które karykaturzyści paryskiej prasy wyobrażają sobie w postaci urwanego z postronka niedźwiedzia. A zatem światła część opinii europejskiej i dalekowzroczni politycy, zdaniem dyskutantów, nie będą tym razem przyglądać się z założonymi rękami, jak w Warszawie łamie się wszelkie nakazy chrześcijańskiego sumienia. A skoro mowa o uwarunkowaniach zewnętrznych – to choć Polacy tkwią w systemie

zaborczego państwa – ich sprzeciw musi również poruszyć sumienia świątłych Rosjan, dla których ta forma niewolnictwa jest wszakże odmianą własnej również niewoli. Oni także nie będą przyglądać się beczynnemu, kiedy już nastąpi upragniony dzień wezwania narodu do walki o utraconą niezależność.

Minęło więcej niż sto lat od narady w budynku parafialnym. Tajny rząd narodowy ogłosił wtedy termin wybuchu powstania. To, co potem nastąpiło, jest wszystkim znane, choć może to przesada myśleć o wszystkich, bo historyczna świadomość współczesnych Polaków jest właściwie żadna, a próby zwracania uwagi na wynikające z tego zagrożenia zbywane są głupawymi dowcipami o bezmyślnym zapatrzeniu w historię na przekór wyzwaniom stawianym przez przyszłość. Na marginesie warto tylko zwrócić uwagę, że nihilistyczny stosunek do doświadczenia historycznego głoszą najczęściej polityczni zwolennicy stopniowej utraty poczucia tożsamości narodowej na rzecz wymarzonej, idealnej, zintegrowanej Europy, w której wartości narodowej kultury są w ogóle bez znaczenia, jeśli widzi się tylko rajskie owoce gospodarczej koniunktury, jaka nas czeka, kiedy już na dobre zapomnimy o własnej historii.

Sądy te pojawiają się coraz częściej, a na ekranach telewizyjnych wygłaszają je z płomiennymi błyskami w oczach politycy, pasujący siebie na wyraziścieli społecznej woli, rozmaici specjaliści od mącenia w głowach, zarówno zwolennicy

nicy zasad liberalnych, jak i głosiciele ładu opartego na zasadach społecznej solidarności.

Głupota nie wybiera. Jej kapłani mogą więc głosić rozmaite nauki, ale zawsze gdzieś, często bezwiednie, ich cele krzyżują się wzajemnie i uzupełniają.

Dyskutujący przed ponad stu laty panowie z powstańczego rządu narodowego ocierali się z pewnością o nieco inne problemy i to akurat, co my dzisiaj wyobrażamy sobie jako zintegrowany świat, budowany na fundamentach zbiorowego bezpieczeństwa, musiałoby się im wydać nieprzytomną mrzonką.

Ale jest jednak coś, co tamte rozmowy uwspółcześnia. Inne było oczywiście ówczesne prawo międzynarodowe, ale przecież ludzie ci w swoich planach odwoływali się do czegoś, ich zdaniem, ważniejszego: do sprawiedliwego instynktu wolnych narodów. Byli zwolennikami poglądu, że każda ograniczana wolność staje się zagrożeniem powszechnym, jeśli tylko świat nie okaże wobec takiego zagrożenia sprzeciwu.

Świat nie okazał sprzeciwu, kiedy pacyfikowano w kolejnym powstaniu Warszawę. Dla polityków wolnego świata najważniejsza była wówczas równowaga sił, której w imię nadrzędnych chrześcijańskich (bo takie wszakże były ówczesne monarchie) zasad nikomu – a więc krnąbrnym Polakom również – naruszać nie wolno. Jak zawsze, odwoływano się przy tym do świętych postanowień prawa międzynarodowego, których z wyższego nakazu przestrzegać musi każdy panujący władca. Oczywiście, wypadało również egzaltowanej opinii publicznej przyznać rację, że jednak przelewanie zbyt dużej ilości krwi stoi w pewnej sprzeczności z postanowienia-

mi międzynarodowego porządku. Ale bez przesady. Takie grzechy Pan Bóg będzie rozliczał rozważając winy i zasługi swoich koronowanych pomazańców. Sądy zaś ludzkie nie powinny zajmować się podobnymi wyrokami.

Potem były błazeńskie popisy polityków wolnego świat paktujących najpierw z Hitlerem a następnie ze Stalinem. Towarzyszyło im to samo przeświadczenie o racji stanu. Aż doczekaliśmy się wojny bałkańskiej i czeczeńskiej rzezi.

Coś jednak stało się także w tym czasie w obrębie prawa międzynarodowego. Wolny świat uratował Kuwejt przed zbrojną agresją. Uczynił to w imię humanistycznych ideałów, które tak bliskie są dzisiejszym zjednoczonym narodom. Co prawda operacji tej nie starano się już powtórzyć w Sarajewie, ale Sarajewo nie ma, niestety, pól naftowych. A ideały wolnego świata nie mogą być obojętne wobec interesu gospodarczego.

A zatem z tą samą bezmyślną ostrożnością świat przygląda się dziś łamaniu praw ludzkich. Czyni to ze smutkiem, w imię zachowania tak trudnej, ale zbawiennej, równowagi. Zgodnie z rygorami tego samego nakazu świat może więc dziś wyrażać jedynie ostrożne ubolewanie z powodu czeczeńskiego mordu. Stroskani panowie przytulający się do siebie na różnych dyplomatycznych kanapach w Genewie lub w Nowym Jorku twierdzą zgodnie, że zawsze jeszcze może być gorzej.

Doświadczenie zaś uczy, że każdy agresor raz zachęcony do bezkarnego działania, na tym nie kończy. Jeśli nie otrzyma stosownej odpowiedzi. Dla polityków i myślicieli wolnego świata

wszystko to dzieje się, dzięki Bogu, w bezpiecznej odległości. Duch wymachującego pokojowym traktatem z Monachium angielskiego premiera nie budzi tych panów ze snu. To wszystko ma dla nich znaczenie lokalnego konfliktu, dla którego nie wolno narażać własnego bezpieczeństwa. Szkoda, oczywiście, że może konfliktu zbyt krwawego, ale w polityce nie ma sentymentów. Wolny świat odbiera zatem kolejną lekcję obłudy i ociera się niezauważenie o kolejne niebezpieczeństwo, którego skali lepiej sobie tymczasem nie wyobrażać.

Przed stu laty spiskujący w Warszawie panowie chcieli pokazać światu, że wolność jest własnością wspólną i że nikomu nie powinno się jej odbierać ani z jej aneksją godzić.

Niektórzy z nich wkrótce zginęli w walce. Inni zostali powieszani. A jeszcze inni zesłani w dalekie strony, w któ-

rych dzisiaj jest odgrywany kolejny dramat współczesnej historii.

A co pozostaje nam, uprzytomniających sobie ową lekcję historii? Głoszenie prawdy, że choć historia nie powtarza się rzeczywiście w prostym wymiarze, to powtarzają się podstawowe nakazy, takie właśnie, jak konieczność obrony zagrożonej cudzej wolności, bez względu na to, co głoszą dziś reguły prawa międzynarodowego. To samo prawo przewiduje zresztą rozległą skalę możliwych odpowiedzi. Choć również nie wyklucza niestety akceptacji. Ale nie powinniśmy się na tę akceptację godzić. Choćby nawet głośne wyrażanie podobnych opinii miało być przez ostrożnych polityków wolnego świata uznane za walkę z wiatrakami. Cudza wytaczana krew plami bowiem oblicza tych strategów tak samo jak tych, którzy ją wytaczają.